

Słów kilka o dwóch słowach

Najczęściej wystarcza mi coś takiego małego, czyli drobny szkic kompozycyjny, który jest tylko schematem i takim drogowskazem do dalszej roboty – mówi Tomasz Kukawski i pokazuje do kamery niewielki rysunek, który bardziej przypomina przypadkowe bazgroły wykonane w trakcie średnio zajmującej rozmowy telefonicznej, aniżeli poważnie potraktowane działania koncepcyjne.

Bardzo mi się w tym zdaniu podobają dwa słowa: drogowskaz i robota. Brzmia swojsko, są zaciągnięte z codzienności i daleko im do koturnowych dywagacji o meta-narracjach i innych intelektualnych frazesach, od których coraz częściej roi się w słowach odautorskich różnych twórców i twórczyń.

U Tomasza Kukawskiego nie ma gadania wypchanego dyskursami, artysta nie rzuca się z motyką na społeczne barykady i nie deklaruje gotowości do radykalnych gestów wywracających stoliki polityczne, kulturowe i artystyczne. Nie znaczy to, że w jego grafikach nie pulsuje nerw współczesności, że nie oddychają one sprawami aktualnymi, jednak wszelkie odniesienia podane zostają przez artystę nie wprost i obecne są w jego pracach w sposób raczej nienachalny. Wróćmy jednak do owych dwóch słów usłyszanych w zdaniu wypowiedzianym przed kamerami białostockiej telewizji.

Słyszając słowo robota, niemal automatycznie łączymy je w jedno z takimi przymiotnikami jak: fachowa, solidna, dobra, uczciwa tworząc związki frazeologiczne zbliżające nas raczej do cechowego *Meisterstück*, aniżeli do wywrotowego gestu twórczego. Czy to oznacza, że grafiki tworzone przez Tomasza Kukawskiego są jedynie popisem mistrzostwa warsztatowego? Czy jego głównym celem jest perfekcyjnie wykonana odbitka? Albo nieustanne dopracowywanie i wciąż na nowo podejmowane opracowywanie dawno temu wybranego motywu, który przewija się przez jego twórczość niczym natrętny komar w wypełnionym letnim skwarcem pokoju? Wręcz przeciwnie. To, co nieustannie mnie zaskakuje, gdy obcuje z grafikami Tomasza Kukawskiego to niewymuszona doskonałość warsztatowa, która dociera do mnie wtórnie po tym, gdy jej faktyczna funkcja zdąży już odpowiednio zadziałać na moje zmysły i emocje. Po tym, gdy uwiedzie mnie ten szczególny kolor błękitu, którego Tomasz Kukawski jest niekwestionowanym królem. Po tym, jak dam się wciągnąć w labirynty precyzyjnie wyłobionych linii i celnie usytuowanych punktów, nie dlatego, że są tak doskonałe – choć po chwili oczywiście uświadamiam sobie, że takie właśnie są – lecz dlatego, że

odpowiednio zakomponowane wytwarzają ten szczególny, bo analogowymi środkami osiągnięty, rodzaj immersji, której nie sposób nie dać się uwieść.

Istotne zdaje mi się także, aby zawczasu sobie uświadomić, że grafiki Tomasza Kukawskiego to nie mem-obraz, którego przekaz łapiemy w lot i o którego istnieniu pięć minut później zapominamy, gdyż zostaje on z naszej pamięci niezwykle skutecznie wyparty przez kolejny twór błyskawiczny, łatwo rozpuszczalny, a zatem natychmiastowo unieważniany. Przeciwnie, to takie obrazy graficzne, które są przeznaczone do kontemplacji i – co ważniejsze – których kontemplacja, w czasach tak bardzo uciekających od tej do niedawna klasycznej formuły obcowania z wytworami artystycznymi, nadal przynosi satysfakcję. Jest Tomasz Kukawski operatorem na percepcji odbiorcy takim, jakim w malarstwie okazał się być Mark Rothko, do dzisiaj nie tylko oglądany, lecz w czasach migotliwej zmienności wręcz coraz bardziej uwielbiany przez kolejne generacje, dla których już za chwilę zabraknie liter tak w greckim, jak i w łacińskim alfabecie.

Warto pomedytować przed tymi grafikami, nie tylko dlatego, że proces ich powstawania przypomina medytację i porównywany bywa do mnisiej roboty. Dość powiedzieć, że pojedyncza praca powstaje zwykle przez trzy miesiące, a niekiedy pewnie dłużej. Nie jest to zatem wytwór szybkiego spojrzenia kamery, czy błyskawicznego opadnięcia migawki. Polecam sobie przy tym kontemplantowaniu czegoś posłuchać, może to będzie Taj Mahal, a może Stacy Kent, a może ktoś zupełnie inny. Wszak grafiki Tomasza Kukawskiego pełne są muzyki, rytmów i melodii. Są trochę jak wewnętrzne partytury, których tonacja ulega czasami skomplikowanej modulacji. Są jak improwizacja w stylu Milesa Davisa. Któż z fanów jazzu nie słyszał bodaj raz tej Milesowskiej mądrości nakazującej: *Nie graj w to, co jest, graj w to, czego nie ma?* Czytając wywiad, którego w 2003 roku Tomasz Kukawski udzielił Jarosławowi Sieradzkiemu, wychwytyję słowa, które brzmią dla mnie jak wariacja na frazie Davisa. Kukawski stwierdza w nich: *Gdy na etapie wstępnego szkicowania czuję, że „jest coś na rzeczy”, natychmiast usiłuję od tego odejść i przetworzyć „to coś” na własny sposób.* Grać to, czego nie ma oznacza w improwizacyjnej logice Milesa Davisa zachętę do przetworzenia czegoś na własny sposób, zakładam więc na własne kontemplacyjne potrzeby, że w tym podejściu obaj twórcy mimowolnie się spotykają, choć każdy dochodził do tej metody własną drogą.

Przejdźmy teraz do drugiego z słów wychwyconych z telewizyjnego wystąpienia, które brzmi – drogowskaz. Przyznam od razu, że bardzo to słowo lubię. Dlaczego? Bo jest w gruncie rzeczy cudownie niezobowiązujące. W przeciwieństwie do znaku drogowego, którego znacznie nie tylko jest nam komunikowane, ale który nakazuje nam bezdyskusyjne przyjęcie do wiadomości owego komunikatu i zastosowanie się do

wynikających z niego konsekwencji, drogowskaz nie stosuje przymusu. Wiedzą o tym ci, którzy w czasach sprzed rewolucji cyfrowej ignorowali przekaz płynący z umieszczonego przy jezdni drogowskazu, stwierdzającego na przykład, że aby dojechać do miejscowości „X” należy skręcić „tu”. Jeśli fantazja i czas tylko na to pozwalały, skręcało się nie „tu” tylko „tam”, zakładając, że ostatecznie jakoś dojedziemy do celu, tylko może od przeciwnej strony. Obecnie co prawda para-drogowskazy przyjmujące postać natrętnego i charakteryzującego się na ogół kiepskim akcentem głosu nawigacji samochodowej stale próbują zawrócić nas na ich zdaniem jedyną właściwą trasę, ale na szczęście nie musimy ich wcale słuchać. Czasami dlatego, że znamy sprytny skrót, o którego istnieniu wiedzą tylko „tuziemcy”, a czasami dlatego, że uruchamia się w nas gen sprzeciwu, a może bakcyl przygody, zwłaszcza, gdy wiemy, że ostatecznie nasza cyfrowa przewodniczka lub przewodnik i tak wybawi nas z kłopotu zagubienia, gdy jednak okaże się, że naprawdę zabłądziliśmy.

Dlatego słuchając wypowiedzi Tomasza Kukawskiego utożsamiam drogowskaz z twórczą swobodą, którą daje sobie artysta tak bardzo wewnętrznie zdyscyplinowany, że może być spokojny o wszelkie zjazdy na manowce, bo będą one dla niego co najwyżej pożywką do kolejnych eksploracji, a nie traumatycznym przeżyciem skutkującym utratą gruntu pod nogami. A w ślad za tą swobodą i „bezprzymusem” ruszamy i my. Naszym drogowskazem na trasie graficznych eksploracji stają się tytuły poszczególnych prac, równie nieprzemocowe w swoim oddziaływaniu na kierunek naszej interpretacji, jak niewymuszony był udział pierwotnego szkicu w finalnej postaci dzieła. Cieszymy się tą podróżą póki trwa, nie przyspieszajmy jej i dajmy się porwać meandrycznym kompozycjom, Bo kiedy przyjdzie właściwy czas z łatwością wybiegniemy z nich z powrotem do naszej rzeczywistości. Ale ostrzegam, nic w niej nie będzie już wyglądało tak samo...